Rok IX^ty. Nr. 23.

Szkółka niedzielna



Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela czwarta po Zielonych świątkach,* dnia 8. Czerwca 1845.

Religia.

Cudowny jest Pan Bóg w swych dziełach.

Kasper i Kordula Lipdomscy.

(Dokończenie.)

Wnastępujący poniedziałek zabrał Anzelm swoje rzeczy od majstra, u którego był dotąd, i wrócił do rodziców, aby ojcu mógł być pomocą w jego rzemiośle. Od tego czasu samą szczęśliwością i ukontentowaniem oddychali wszyscy w domu Kaspra. Wszędzie widać było błogosławieństwo boskie, a rodzice mieli tę pociechę, że się mogli patrzeć na syna swego Anzelma, ciągle drogą poprawy postępującego. Nie mogli w sobie utaić pociechy, z tak błogiéj zmiany syna pochodzącéj, przeto jednego razu z pełności serca czułą radością uniesionego rzekli do niego: „Kochany synu! wielkie było nasze zmartwienie, jakie nam przez lat kilka sprawiałeś, ale równie wielka jest teraz nasza radość, gdy widzim, że szczerze trzymasz się drogi poprawy i postępujesz nią.“ — „O kochani rodzice!“ odrzekł z westchnieniem Anzelm, „Bóg tylko sam wie, jak moje serce płacze, że mojém haniebném życiem tyle was zmartwień i smutku nabawiłem. O jakże w téj chwili pragnąłbym, gdyby można, to wszystko cofnąć, i tak zniweczyć, jakby się było wcale nie stało! Lecz to być nie może, gdy to, co się stało, już się nie odstanie. O drodzy rodzice, błagam was ze łzami, darujcież mi, i zapomnijcie wszystkiego. Już ja niezawodnie dobrym pozostanę na zawsze: a jak dotąd byłem dla was największém zmartwieniem, tak odtąd chcę być samą pociechą.“ — „Jeżeli tym będziesz, synu kochany,“ rzekł ojciec, „wtedy chętnie i z całego serca zapomnimy wszystkiego.“ — „Ale tego nie możem i nie powinniśmy zapomnieć,“ zawołała z uniesieniem matka, „że to litościwa ręka Boga przysposobiła nam to święto radości!“ — „Nie, nie, matko kochana, rzekł Anzelm, „tego ja nie zapomnę i zapomnieć nie mogę! Bo gdyby Bóg miłosierny nie był się zlitował nademną i nie oświécił mnie swoją łaską, byłbym zginął na zawsze! Nie przestanę ja przez cały bieg życia mojego za to dzięk składać Bogu, a to dziękczynienie starać się będę okazywać szczególniéj przez wierne dopełnienie przyrzeczeń, właśnie przysięgą stwierdzonych w owéj chwili, gdy mnie Bóg cudownie oświecił.“

I rzeczywiście! Anzelm wiernie dotrzymał słowa. Nie ujrzano go odtąd nigdy w pijackiéj i kartowniczéj kompanii, którą

dawniéj tak był lubił i do niéj tęsknił. Nie znaleziono go w pośrodku owych, którzy dotąd najmilszych jego towarzyszów stanowili. Wszelkiéj poufałości i znajomości nawet z osobami płci innéj unikał. Jak w dni robocze pilnował warsztatu, to jest: kowadła i kuźni, tak znów w niedzielę i święta był ciągle w kościele, nie opuścił nabożeństwa, żadnéj nauki i kazania, resztę zaś dnia świętego trawił na czytaniu książki pobożnéj; a jak dawniéj wielu gorszył przez swoje występne sprawowanie się, tak teraz wszystkich budował swą stałą i niezachwianą odmianą życia; nawet tych zawstydzał, którzy mniemali i gadali publicznie, że się wróci do dawnego sposobu życia, i znów będzie rozwiozłym Anzelmem.

Ten dzień, którego światło łaski Pana Boga oświeciło jego umysł i serce i wprowadziło na drogę cnoty, na zawsze dla niego pozostał świętym. Obchodził go po wszystkie lata uroczyście, tak jak dzieci swoje narodziny, z dziękczynieniem Bogu i ponowieniem z swéj strony świętych postanowień. Regularnie co rok przypominał rodzicom i rodzeństwu to zmiłowanie się Boga nad sobą, a ci łącząc swe modły z jego modłami, dopomagali mu z swéj strony tém uroczyściéj dzień jego wybawienia obchodzić. Zawsze ten dzień przepędzali na świętobliwych sprawach; Anzelm zaś, prócz modlitw i przystępowania do SS. Sakramentów, dzień ten radośnéj pamiątki odznaczał jałmużną, którą corocznie wspomagał ze swego jedynie na ten cel oszczędzonego zarobku trzech domowych ubogich.

Tymczasem troskliwi Rodzice przemyślali nad zaopatrzeniem swych dobrych dzieci. Dla Klary w krótce wydarzyła się sposobność. Prawie kończyła rok dwudziesty, gdy w sąsiedztwie kupcowi B. umarła żona przy połogu. Aże ten kupiec wszelkie kowalskie roboty Lipdomskiemu polecał, przeto często w jego domu bywał, a tém samém miał sposobność poznania jego córki Klary, jako bardzo pięknie ułożonéj, do wszystkiego zręcznéj i skromnéj dziewczyny, któréj i powierzchowność była przyjemną i ujmującą. Po śmierci tedy żony zwrócił oczy na dobrą Klarę i tę obrawszy w swém sercu, zgłosił się po kwartale do jéj ojca z prośbą o rękę córki. Aże Lipdomski znał swego sąsiada jako uczciwego męża z wszelkiego względu, który wielce szanował swą zmarłą małżonkę, przeto mile przyjął to oświadczenie. Zdał przecie ten interes córce i matce. Po zezwoleniu matki z ukontentowaniem przyjęła Klara to zamęście, i w czterech tygodniach już była małżonką. Wśród rzewnych łez opuszczała Klara dom rodzicielski, przenosząc się do domu małżonka, i czułych dziękczynień rodzicom, za wszystkie od nich odebrane dobrodziejstwa, szczególniéj za dobre wychowanie.

Po zamęściu Klary niedługo i Anzelm zaopatrzony został w ojczystém swéj matki miasteczku. Majętny kowal, od kilku lat owdowiały, jedyną tylko córkę mający, znając zręczność Anzelma, a przytem przekonany o jego stałéj poprawie i uczciwym harakterze, życzył sobie wydać za niego swą córkę. Gdy się tedy ojcowie porozumieli i sądowe poczynili zapisy, w ośm dni obchodzili wesele z tak nadzwyczajną radością, jakiéj nawet trudno opisać. bo każdego z obecnych gości w zachwycenie wprawiało wspomnienie na to miłosierdzie boskie, którego naocznymi byli świadkami, jak owego okrzyknionego bałamuta Anzelma na tak przykładnego zmieniło i tak nad wszelkie spodziewanie zaopatrzyło.

Od tego czasu Kasper i Kordula gospodarowali z pozostałym synem Konra-

dem tak szczęśliwie, że daleko szukać było trzeba podobnie ukontentowanych małżonków. Ich mająteczek prawie z dniem każdym pomnażał się. Konrad zaś, przyszły dziedzic ich domu i całego zasobu, ciągle pozostał cnotliwym, posłusznym młodzieńcem tak, jak przywykł od dziecka. Najczuléj pielęgnował swoich rodziców, opatrywał ich we wszystko, nie tylko w potrzeby i wygody, lecz co tylko mogło uprzyjemnić im życie i osłodzić ułomności, jakie wiek sędziwy za sobą pociąga.

A tak tych poczciwych i prawdziwie chrześciańskich małżonków ostatnie dni życia upływały w naoczném błogosławieństwie aż do téj chwili, kiedy ich Bóg z téj ziemi do siebie powołał; i na nich spełniło się to, co Pismo święte powiada: „kto służy Bogu i w nim pokłada nadzieję, zostaje w błogosławieństwie, bo wszechmocna ręka Boga cudownie wszystko kieruje na jego dobro.“

Nagłe nawrócenie Anzelma i prawie cudowne, jak niegdyś Szawła, Augustyna, Placyda czyli Eustachiusza i t. p., przypomniało mi świeżą, nie tak dawną przemianę jednego na najwyższym stopniu w téj prowincyi postawionego Kapłana, który obłąkany na bezdróża występne, przygłuszywszy zupełnie sumienie, oddał się żądzom ciała, gdy wśród dnia głos Boga usłyszał i przestrogę — wszystką światowość porzucił, najprzykładniejsze i najświątobliwsze życie prowadzić zaczął, i w téj świątobliwości szczęśliwie dotrwał do końca. To miłosierdzie Boga, którego doznał, sam ze łzami często opowiadał, i skreślił je wierszem, które po jego śmierci znaleziono w jego papierach, a które właśnie tu mają stósowne miejsce, przeto je kładę. — Może one nie na jednym obłąkanym uczynią wrażenie i zwrócą do Boga.

Oto są te wiersze, czyli: *Powrót do Boga.*

I.

Na wskróś przejęty wiecznych prawd wyrokiem,
Do Twoich, Panie, drżąc idę przybytków!
Gdzie uroczyście przed nieba widokiem
Zrzekam się świata i wszech jego zbytków.

Z sukienki piérwszéj, co mi dałeś, Panie,
Przed Twe oblicze przychodzę odarty,
Oczów ku Tobie wznieść nie jestem w stanie,
Gdyż i znak syna mam na czole starty!

Z odległéj jestem krainy przychodzień,
Gdzie mnie od Ciebie płochość oddaliła,
Wichrem i burzą kołatany codzień,
Nadzieja tylko rozpacz mą koiła.

W różnych bezdróżach, wśród dzikich zarośli,
Ścieszki zwierzęce brałem za tór bity,
Biegłem za tymi, co przedemną poszli,
Chlubny, że mi laur dano z chwastu wity.

Jadem roskoszy zatruta ponęta
Pieskliwie zmysły nieznacznie łechtała,
Potém mnie w swoje uwikławszy pęta,
Za ich zwycięzkim wozem iść kazała.

Pycha stała się panią mego serca,
A próżność także chciała swéj ofiary;
Ten tyran straszny, wszystkich cnót morderca,
Dość znacznie swemi obsypał mię dary.

A tak wplątany ze wszystkich stron w sidła,
Z lekka się z memi więzy oswajałem,
I paląc świata bożyszczu kadzidła,
Śmiałém na wszystko czołem spoglądałem.

Sumienie, świadek wierny mojéj nędzy,
Czasem w zaciszu łajał mnie surowo;
Lecz me powrozy z mocnéj były przędzy,
Bo miłość własna była ich osnową.

Ta moich działań stawszy się sprężyną,
Nasiona wszystkich cnót przytłumić chciała;
Ta była moich obłąkań przyczyną,
Ta mój w upadkach rozum usypiała.

Im byłem słabszy, tém mniéj słabość czułem,
Prawdę lubiłem, choćem od niéj zboczył;
Widziałem dobrze, że sam siebie trułem,
Znałem, żem winny; znałem, żem wykroczył.

Własnéj miłości méj nieszczęsny jeniec,
Jako ofiara smutna na zabicie
Szedłem, przybrany w cyprysowy wieniec,
Tam, gdzie na wieki miałem tracić życie.

Omdlałe siły już nie były w stanie
Z tak srogiéj dla nich dobyć się niewoli;
Tyś widział wszystko, o Boże! o Panie!
Tyś mię ratował w téj gorzkiéj niedoli.

Kruszyłeś każde łańcucha ogniwo,
Dając mi uczuć sumienia zgryzoty;
Leczyłeś rany winem i oliwą,
Dałeś mi znowu powrócić do cnoty.

Nie dosyć na tém, żeś mnie Twemi dary
Tak niegodnego obdarzył obficie;
Jeszcze mnie chcesz mieć sprawcą Twéj ofiary,
Wlewając skłonność w duszę moję skrycie.

Baczny na Twoje, o Boże, zrządzenia,
Już do drzwi Twojéj świątyni kołacę;
Okryty wstydem, odarty z odzienia,
Zgubiony wiecznie, jeśli Ciebie stracę.

Jak owo dziecię, gdy do matki śpieszy,
Słabe rączęta już o podal wznosi;
Nie ufne siłom, i chociaż się cieszy,
Jednak swym płaczem o pomoc jéj prosi.

Tak ja dziś nędzny, Panie! do Cię wołam:
Broń mnie w upadku, bo wstać już nie zdołam;
Na mnie podobnych, co w bezdenność leci,
Wejrzyj! wszak to są równie Twoje dzieci.

II.

Na spruchłéj łódce, bez stéru i wiosła,
Burza mnie wśród skał swym pędem uniosła;
Biedzę się zewsząd, w téj smutnéj kolei
Płaczę, lecz jednak nie tracę nadziei.

Cóż Ci, o Boże, z tego, że ja zginę!
Trzebaż potęgi, abyś skruszył trzcinę?
Wszechmocność Twoja większąż przeto będzie,
Że mnie zabraknie w Twych wybranych rzędzie?

Gwiazd miliony, co się skrzą wśród nocy,
Nie ogłaszająż ogromu Twéj mocy?
Gdy z nich niektóre skryjesz przed mém okiem,
Mniéjże już pięknym świat będzie widokiem?

Znam, żem jest niczem, jednak rąk Twych dzieło.
Od Ciebie moje jestestwo byt wzięło,
I gdybyś nawet chciał być dla mnie srogiem,
Ja, ginąc, Ciebie nazwę moim Bogiem.

Nie chcę ja z Tobą stawać na sąd Panie!
Bo któż z śmiertelnych w niewinnym jest stanie?
Któż mógł dobrego co zrobić bez Ciebie?
Któż kiedy dobrze znał samego siebie?

Cne nasze sprawy, co my z chlubą liczem,
Czemże są, Boże, przed twojém obliczem?
Jedna nieprawość popełniona zwali
Tysiąc cnót razem stawionych na szali.

Darmo się człowiek nikczemny nadyma,
Gdy go Twa ręka wszechmocna nie trzyma:
Im mu przyjaźniéj szczęścia promyk świeci,
Tém bez téj łaski głębiéj w przepaść leci.

Zmysły gdy złudzi roskoszy ponęta,
Nieznacznie duszę uwikła w swe pęta;
Ta raz shańbiona spuszcza z swego prawa
I na ich rozkaz jak niewolnik stawa.

Już ją nieprawość mało co kosztuje,
I smaku, Panie, w Twych prawdach nie czuje;
Brzydką rozwiązłość celem życia sądzi,
Szczęściem nazywa, gdy najwięcéj błądzi.

Któż ją wydźwignie z téj nieszczęsnéj doli?
Kto skruszy więzy bez jéj własnéj woli?
Ty jeden Boże, co przez twe sprężyny
Tworzysz i z zgłazów Abrahama syny.

Próżno bezbożny wszetecznemi usty
Będzie uwłaczał Twym sądom z rozpusty:
Przyjdzie nań koléj, gdy się nie spostrzeże,
A Twojéj zemsty pocisk go dosięże.

Lecz ja, o Boże! wielbię Twe wyroki:
Na Twoich drogach kieruj moje kroki,
Nie dozwól, by się potknęły me nogi,
Wszak wiesz, jak jestem słaby i ubogi.

Wola Twa święta niech się zemną dzieje,
Niech mi wiatr sprzeczny lub pomyślny wieje,
Zawsze ty będziesz pragnień moich celem;
W Tobie spłakany odpocznę z weselem.

Sprostowanie. W przeszłym Nrze na str. 88 w drugiéj kolumnie, w wierszu 11 i 12 od góry, zamiast czcicie czytać należy czcijcie.

SZKOŁKA NIEDZIELNA wychodzi, co tydzień pół arkusza, za umiarkowaną cenę rocznie złp. 4. półrocznie złp. 2. Wszystkie królewskie urzędy pocztowe i księgarnie przyjmują przedpłatę, i dostawiają Szkółkę co tydzień, bez podwyższenia ceny, Abonentom.

Nakładem i drukiem *Ernesta Günthera* w Lesznie. — (Redaktor: X. *T. Borowicz.*)